

# Mówią „Życiu”

## Podpatrywać siebie



Dzisiaj w naszej rubryce prezentującej wybitnych, popularnych wykonawców gościmy Ryszardę Hanin, aktorkę Teatru Dramatycznego w Warszawie, którą oglądamy także w teatrze telewizji. Kilka tych ról zostało uhonorowanych dorocznymi nagrodami TV w postaci „Złotego ekranu”.

— Aktorstwo, które Pani reprezentuje, nazywa się potocznie charakterystycznym. Czy to jest coś co się po prostu ma, czy też nabywa się wraz z doświadczeniem?

— Wydaje mi się, że podziały na amantów, komików, tragiczków dziś już chyba nie istnieją, a przynajmniej każdy aktor stara się zatrzeć te różnice. Myślę, że w ogóle nie ma aktorstwa nie charakterystycznego. Każdy stara się przeciwieństwem nazwać jakimś szczególnym piętnem postać, którą tworzy, wszystko jedno w jakiego typu dramaturgii. Te cechy ludzkie zarówno zewnętrzne, jak i wewnętrzne podpatrujemy u innych, ale także i u siebie. Na tym polega swoiste okrucieństwo tego zawodu; dokonujemy jakby wiwisekcji na sobie samych, w różnych sytuacjach, w różnych stanach emocjonalnych. Umieemy przeraźliwie dokładnie, jak przez lupę, wydobyć każdą własną słabość, każdą swoją reakcję, gest, grymas, które później mogą nam się przydać do jakiejś roli.

— To podpatrywanie siebie sprzyja chyba rozwijaniu samokrytycyzmu?

— Tak, aktor musi być samokrytyczny. To jest podstawowy warunek wykonywania zawodu. Trzeba nie tylko znać wszystko to „złe” i „dobre”, „ładne” i „brzydkie”, ale umieć wykorzystać niedoskonałość jako walor, czyniąc z niej zamierzony element gry. Oczywiście, to przychodzi z doświadczeniem zdobywanym w toku pracy. Tego nie może nauczyć nawet najlepsza szkoła.

— Stąd wniosek, że młody aktor nie może po prostu posiadać tych umiejętności w stopniu do-

co wcale nie jest równoznaczne z urodą. Ale przecież, nie wiemy czy oni mają talent i nie możemy ich nauczyć talentu. Możemy natomiast doskonalić to, czym zostali obdarzeni, rozwijać poczucie estetyki i dobrego smaku, próbować rozbudzić drzemające w zarodku te cechy, które później zdecydują o „być albo nie być” w zawodzie. Bardzo lubię pracować z młodzieżą i przyznam, że gdy opracowuję z nimi jakąś rolę, o której kiedyś marzyłam, to mam takie wrażenie jakby marzenie się spełniło, jakbym sama grała.

— Czy ról nie spełnionych było dużo?

— O tak, przeważnie nie gra się tych, o których się marzy. Mnie co prawda zdarzyło się kilka razy zagrać postacią wymarzoną. Jedną z nich była Sonia w „Wujaszku Wani” w teatrze, inną — Matka w „Niespodziance” Bostworowskiego, w telewizji.

— A role ważne w Pani dorobku?

— Mam szczególny sentyment do moich pierwszych ról, jak Aniela w „Ślubach panieńskich”, czy Panna Młoda w „Weselu”, którą grałam jeszcze jako amatorka w Teatrze lubelskim, pod kierunkiem Jacka Woszczerowicza. Pamiętam, byłam tak zafascynowana osobowością Woszczerowicza, tak wiernie naśladowałam każdy jego gest, kiedy reżyserował spektakl, że grałam chyba dokładnie tak, jakby grał przebrany na Pannę Młodą Woszczerowicz. Późniejsze role, które są dla mnie ważne to Nastka w sztuce Gorkiego „Na dnie” i Ariel w Szekspirowskiej „Burzy”, obie w reżyserii Leona Schillera. Wspominam również z sentymentem wszystkie role w dramatach Garcii Lorki, bo to mój ulubiony pisarz.

— Gdzie zobaczymy Panią w najbliższym czasie?

— Nie wiem czy to będzie taki czas najbliższy, w każdym razie nagrałam „Radosne dni” Beckettta w telewizji, a obecnie wybieram się do „Pamiętników” Zofii Tolstojowej. W teatrze zaś próbujemy „Na czworakach” Tadeusza Różewicza w reżyserii Jerzego Jarockiego.

(Rozmawiała M. D.)